

Lot do Nelspruit

2 kwietnia 2010

W holu pojawiła się drobna Murzynka ubrana w kwiecisty fartuszek. Głośno paplała, rękami wywijała niczym wiatrakami, a jej patykowate nogi dreptały w tę i we w tę. Potem wkroczyła czarna piękność w sukni białej i zwiewnej. Pachniała Opium Yves Saint Laurenta i już wiedziałam, że zapach ten będzie mi towarzyszył przez cały pobyt w Południowej Afryce. 'Piękną' zasypaliśmy lawiną pytań, lecz ona stała w milczeniu, nieruchoma niczym posąg. Dopiero po naszym zamilknięciu zapytała:

– Kto do awionetki?

Wszyscy, a jakże!

– Tylko cztery osoby. Pozostałe dwie polecą o czwartej po południu – rzekła oschle.

Spojrzeliliśmy na siebie z niemym zapytaniem – komu przypadnie oczekiwanie?

Tymczasem 'Piękna' bez pośpiechu przeglądała nasze paszporty, ich dane porównywała z wpisem w przyniesionych papierach i ostatecznie zdecydowała, że pierwszym kursem poleci pani K., pan W. i państwo M. Z powyższego wynikało, iż czekanie przypadło mnie i mojemu mężowi, co wywołało naszą panikę i zanim skleciłam sensowne zdanie, 'Piękna' zniknęła za drzwiami z napisem ONLY PERSONEL. Na pukanie nikt nie reagował.

– Help me, please! – zwróciłam się do 'Wzorzystego Wiatraka', co ją wyraźnie ucieszyło.

Dlaczego? Czy dlatego, że broda mi drżała i miałam łzy w oczach? A może, dlatego że prosi ją biała? Eh, obojętna przyczyna. Ważne, że jak na skrzydłach pofrunęła na zaplecze i po chwili wyszła 'Piękna'.

– Excuse me! – podeszłam do niej – W Nelspruit czeka samochód, którym musimy dojechać do Johannesburga, a stamtąd o godzinie szóstej po południu odchodzi autobus do Cape Town. Jeśli teraz nie polecimy awionetką, przepadną bilety autobusowe i wszystko mocno się skomplikuje. Nie wiedziałam, czy mnie zrozumiała, gdyż bez słowa odwróciła się na pięcie i ponownie zatrzęsnęła drzwiami za sobą.

Obok radzieckiego TU-154 wylądował samolocik maleńki niczym zabawka. Wyznaczona czwórka ruszyła w jego kierunku, a ja z rosnącym niepokojem przyglądałam się, jak w ogonie maszyny upychali bagaż i potem kolejno znikali w ciasnej kabinie. Jednak dopóki awionetka stała, miałam rozpaczliwą nadzieję na cud znalezienia się w niej.

I cud nastąpił! Piękna pojawiła się z informacją, że dokumenty państwa M. zawierają niedokładność, którą trzeba wyjaśnić, dlatego ona prosi państwa M. o opuszczenie samolotu.

– Pojedzie Mr i Mrs Kosma – dodała zaraz, po czym zniknęła na dobre.

W awionetce nastąpiło gorączkowe kopanie, wylądowano bagaże państwa M., w ich miejsce załadowano nasze. Sami państwo M. niechętnie wygramolili się z kabiny, natomiast my bardzo ochoczo wskoczyliśmy do wnętrza. W nozdrza uderzył nas kwaśny zapach, którym przesiąknięte były mocno wysłużone pokrowce, a także podłoga, pasy bezpieczeństwa, po prostu wszystko. Lecz jakie to miało znaczenie? Dla nas żadne wobec faktu ponownego kontynuowania podróży.

Po kwadransie zaczęliśmy się niepokoić. Nareszcie pojawił się drobny mężczyzna, wolnym krokiem obszedł w koło nas i niespiesznie rozpoczął przegląd nitów spinających poszycie awionetki. Coś do nas mruczał, lecz nie zrozumieliśmy, więc w sukurs przyszedł drugi, który nie bawił się już w grzeczności, tylko ostro rzucił: „Out!” i wykonał gest jasno wyrażający znaczenie tego słowa. Niechętnie odpięliśmy zaciśnięte pasy,

pytając:

– Why, dlaczego?

– It's broken-down, uszkodzone – wskazał urwaną śrubę, z której pomocą lewe skrzydło wspierało się o metalowe ramię przymocowane do osi koła.

Wychodząc z pojazdu, kątem oka zauważyłam, że uszkodzona śruba została klepnięta młotkiem, przy okazji również kilka mocno wystających nitów, które posłusznie weszły głębiej, jednak nie gwarantowały, że ponownie się nie wysuną lub wręcz nie wypadną w trakcie lotu. Opona-flak została kopnięta mimochodem jakby dla sprawdzenia, czy jeszcze będzie zdolna utrzymać ciężar i przetoczyć się w chwili startu. Arcyważna mina nie dawała takiej gwarancji. A już na pewno nie gwarantowała, że flak nie trzaśnie w Nelspruit w trakcie lądowania, co oczywiście byłoby problemem już całkiem innych ludzi...

Pełni obaw o przebieg dalszych wydarzeń wróciliśmy do budynku. Małżonkowie M. spoglądali na świat okiem bazyliuszka i wyjaśniali, że tuż przed wyjazdem wzięli ślub, dlatego na zaproszeniu widnieje panieńskie nazwisko żony, a w paszporcie już po mężu.

– No i teraz gdzieś telefonują żeby sprawdzić, czy nie ma w tym jakiegoś przekrętu – pogardliwie prychnął pan M. uważając, że każdy komunistyczny kraj widzi w człowieku jedynie potencjalnego przestępcę.

– To nie Europa – wtrąciła lekarka. – W Afryce wszyscy mają czas, dlatego najlepiej nie martwić się i po prostu uzbroić w cierpliwość.

Dobre sobie, nie martwić się! Na dokładkę „po prostu”.

Dla rozładowania atmosfery i skrócenia czasu oczekiwania pan W. pociągnął swoją opowieść o ubiegłorocznym pobycie w Kapsztadzie.

– A może w niedzielę spotkamy się w kaplicy Nazareth House? – zaproponował. – Kaplica znajduje się w dzielnicy Rondebosch i pełni funkcję polskiego kościoła parafialnego. Msze celebruje ksiądz Jan, dzięki któremu niedzielne spotkania stają się okazją nie tylko do wymiany ploteczek, ale również dla poznania nowych przybyszów z Polski. Jeśli trzeba pomóc w pierwszych krokach osiedlenia się, miejscowa Polonia zawsze wesprze. Pani siostra na pewno zawiezie na niedzielną mszę, gdyż zwykle na emigracji niewierzący stają się wierzącymi, a egoiści altruistami. No, chyba, że mają kłopoty materialne – uzupełnił. – Jednak w RPA, poza nielicznymi przypadkami popadających w alkoholizm, takich nie ma i wszyscy biali, a szczególnie Polacy szybko stają na mocnych nogach.

O godz. 11 ponownie wezwano nas do awionetki. Jeszcze raz pożegnaliśmy panią doktor i państwo M., jeszcze raz zapięliśmy parciane pasy bezpieczeństwa, a kiedy samolocik uniósł nas w górę, odetchnęliśmy z ulgą. Lecieliśmy pograniczem Swazilandu i południowej części Parku Narodowego Krugera. O tej porze roku był zamknięty z powodu intensywnych deszczów niszczących drogi, szalejącej malarii oraz czarnej gorączki wywoływanej przez pierwotniaki z rodzaju Plasmodium. Prawdziwy sezon safari zaczynał się dopiero od maja i trwał do sierpnia, jednak o wstęp na teren parku trzeba było starać się prawie rok wcześniej. – Chyba, że ma się dużo pieniędzy i jest się bardzo upartym – zauważyła pani K.

Nie, nie grzeszyliśmy ani jednym, ani drugim, dlatego w pełni usatysfakcjonowałby nas sam widok słońca pod baobabem lub widok hipopotama baraszkującego w rzece Olifants, ponad którą właśnie przelatywaliśmy. Ale nie mieliśmy szczęścia. Szczelne chmury zasłaniały ziemię i zobaczenie czegokolwiek było niemożliwe.

A zatem pozostało mi tylko przyglądanie się współtowarzyszom podróży. Pierwsze dwa fotele zajmowali piloci, za nimi pan W. i jakiś obcy mężczyzna, którego dotąd nie widziałam. Za nimi pani K. i ja, a za nami już tylko mój mąż. Puste miejsce obok

niego oznaczało, że gdyby nie nieznajomy obok pana W., to nikt nie musiałby czekać na drugi kurs i teraz wszyscy lecielibyśmy razem.

– Erpeowski Bur – zauważyła moja sąsiadka. – Oni zwykle są grubej kości, kwadratowi i jakby ciosani, a na dokładkę często ryżawi i raczej bardzo butni. Nie są lubiani. Niedługo nauczycie się ich rozpoznawać.

Nie odpowiedziałam nic, bo przy tak głośnej pracy silnika nie dało się prowadzić konwersacji. W uszy wcisnęłam zatyczki i wtuliłam się w twarde fotele. Sąsiadka najwyraźniej nie dawała za wygraną, gdyż już po chwili trąciła mnie w ramię i zawołała wprost do zatkanego ucha:

– Proszę spojrzeć, kto prowadzi tego grata! Za nic nie wsiadłabym do niego, gdybym wiedziała, że pilotami będą czarni. Umieram ze strachu!

Obaj piloci rzeczywiście mieli bardzo czarną skórę, co mocno podkreślała nieskazitelna biel koszul. Mieli skupione twarze, z rzadka rozmawiali z sobą, a ich dłonie sprawnie obsługiwały pokładowe urządzenia. „Nie, przynajmniej przez najbliższą godzinę nie muszę się niczego bać” – pomyślałam i głębiej wepchnęłam woskowy czop. Szybko zapadłam w niebyt, a na ekranie pamięci pojawiły się twarze Harrisa oraz Demeresta, pilotów Złotego Okrętu linii Trans America. I Keitha dyżurującego przed monitorem w wieży kontrolnej portu lotniczego Lincoln. „Ciekawe – myślałam – że książka Arthura Haileya pt. ‘Port lotniczy’ przypomina mi się w awionetce, a nie w odrzutowcu... Który z nich był czarny? Chyba Keith. Ale dlaczego nie powinien? I czy na pewno nie powinien?”

– Zbliżamy się – z odrętwienia wyrwała mnie sąsiadka. – Jest syn, widzę go! O, jest synowa! I wnuki, moje złotka kochane!

Spojrzałam w dół. Wielka połać suchej trawy przeciętej wąskim pasem betonu zbliżała się szybko. W pobliżu stał drewniany barak, obok niewielki plac z kilkoma osobami czekającymi na

nasze lądowanie. Dwaj malcy podskakiwali w szalonej radości, a po ich otwartych buziach widać było, że wrzeszczą niemiłosiernie. Nieco dalej przed murowanym budynkiem wysokie eukaliptusy otulały słonecznym cieniem kilka samochodów. Awionetka dotknęła betonu, podkołowała pod barak i znieruchomiała. Piloci wyłączyli silnik, odpięli pasy bezpieczeństwa, zdjęli słuchawki, powiesili je nad przednią szybą. Wysiedli bez jednego słowa. My za nimi. Witaj, Południowa Afryko!

Przed sobą mieliśmy odprawę celną, formalności związane z odebraniem wypożyczonego samochodu, czterysta kilometrów do Johannesburga, w którym trzeba odszukać Rent Car 'Budget', oddać samochód, a potem trafić na przystanek autobusowy do Kapsztadu. Na to wszystko mieliśmy sześć godzin, co niby było wystarczająco dużo, lecz wobec nieznanego terenu, językowych kłopotów, jak również johannesburskiego molocha i rosnącego zmęczenia – naprawdę niewiele. Sama odprawa mogła pożreć lwia część czasu!

Za kontuarem stał celnik faktycznie nieco ryżawy i nieco kwadratowy. Zawartość bagaży pani K. przeglądał z dużym zainteresowaniem. Ponieważ trudności z porozumieniem nieznośnie spowalniały odprawę, zgodził się wpuścić jej syna, by za matkę wypełnił formularze z mnóstwem przeróżnych pytań. Kiedy zaczęli ustalać listę przywiezionych prezentów, celnik wskazał pozycję „srebrne łyżeczki”.

– Znajdź je, mamó – poprosił syn.

Matka bezskutecznie przeszukiwała podróżną torbę; łyżeczki prawem złośliwości przedmiotów martwych zawieruszyły się na amen.

– Tylko spokojnie – napominał syn z szerokim uśmiechem zza gęstej brody – tylko spokojnie, gdyż on ma czas. Tutaj raz w tygodniu trafia się jakaś robota, nie mówiąc już o turyście spoza Afryki, dlatego więcej dla rozrywki niż z obowiązku

wykonuje swoje powinności sumiennie. Musisz pokazać wszystko, co masz, bo wszystko jest dla niego nadzwyczajnie egzotyczne.

– Szczególnie, że pochodzi z centrum komunizmu – dorzuciłam, też uśmiechając się jak najbardziej promiennie, by nie daj Boże celnikowi nie wpadła do głowy myśl o spiskowaniu pod jego nosem.

Młody K. mrugnął do mnie znacząco, lecz kiedy nadeszła moja kolej, zgubiłam się w litanii pytań dotyczących narkotyków, alkoholu, broni, świerszczyków-porno, kaset video, nasion i sadzonek. W międzyczasie przedstawicielka firmy Budget wręczyła nam list siostry i o czymś poinformowała stróża prawa granicznego. On po chwili zastanowienia zgodził się, by mój mąż przeszedł do murowanego budynku telefonicznie powiadomić rodzinę w Kapsztadzie, że już jesteśmy na terenie RPA, po czym powrócił do nieśpiesznego przeglądania moich pakunków. Ze szczególną ciekawością zerkał na opakowania z konfiturami domowego wyrobu.

– Co to jest? – wskazał jeden ze słoiczków.

– Porzeczką.

– A to?

– Także porzeczką.

– ??

– Ta jest czerwona, tamta czarna.

– A to?

– Agrest.

– Co to jest ‘agrest’?

– Kpi czy jak?! – zwróciłam się do młodego K., jednocześnie głębiej wpychając kilka korzeni selera i pietruszki, o które prosiła siostra – „tak bardzo tęsknię za jarzynową sałatką,

przywieźć!” – więc wiozę, a tu na liście zakazanych towarów są również i te. Gotów kazać wyrzucić!

– Proszę nic nie robić bez jego zezwolenia – szepnął mi do ucha brodacze. – Jeśli złapie na jakimś wykroczeniu, nikt nie będzie w stanie pomóc. On naprawdę jest niebezpieczny!

– Przecież poza porzeczkami i agrestem niewiele go obchodzi – zdziwiłam się, lecz zaraz wyjaśniłam: – gdyby to były moje przetwory, dałabym mu, niech kosztuje na zdrowie. Ale to są wyroby matki szwagra, który nie wybaczy mi, jeśli jego ulubione powidła utkną tutaj.

– O.K. – tymczasem westchnął celnik i uśmiechnął wylewnie: – Welcome to South Africa!

W oka mgnieniu zmiotłam słoiki do torby, głębiej wepchnęłam moje „narkotyki” marki DS, Gent i Caro, szczególnie pieczołowicie owinęłam butelkę z Wyborową (a tak naprawdę z czyściutkim, najwyższej klasy spirytusem – „postaraj się przemyścić polski spirytus, bo tutaj jest takie świństwo, że szkoda gadać”), zasunęłam zamek i zaciągnęłam pasy. Właśnie wrócił mąż i przedstawicielka Budget poprowadziła nas do zaparkowanego volkswagena, objaśniając po drodze, co, gdzie i jak, po czym wręczyła dokumenty oraz kluczyki i przypomniała, iż w tym kraju obowiązuje ruch lewostronny. Obok nas młody K. upychał rozświergotaną rodzinę do swojego golfa.

– Jeżeli państwo chcecie – zaproponował – służę jako pilot. Wjazd do miasta bywa trudny dla osób odwiedzających Johannesburg po raz pierwszy.

Autor: gragaK

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#)

Na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 2.5 Polska